

Przeglądnik dla Kobiet

PISMO

BELLETRYSTYCZNE I NAUKOWE.

WYCHODZI W POZNANIU CO DRUGĄ SOBOTĘ.

Rok II.

— Poznań, 5 sierpnia 1882. —

Nr. 23.

W Poznaniu prenumerować można tylko w redakcyi, Piekary 16. Oplata kwartalna wynosi 3 marki, półroczna 6 mrk., roczna 12 mrk. z dostawieniem egz. do mieszkania. Na prowincyi, w Prusach Zach., oraz w całym państwie pruskiem i w Niemczech prenumeratę kwartalną przyjmuje każda poczta, roczną lub półroczną tylko sama redakcyja; kwartalna wynosi 3 m. 50 f., półroczna 7 m., roczna 14 m. z przesłaniem egz. na miejsce.

Przedpłata dla Galicyi wynosi rocznie 8 zlr., półrocznie 4 zlr., ćwierćrocznie 2 zlr., za co się przesyła franko. Zapisywać można albo wprost w redakcyi, albo w księgarniach S. A. Krzyżanowskiego w Krakowie i w Księgarni Polskiej we Lwowie. Inseraty przyjmują się w redakcyi za opłatą 30 f. od wiersza dwulubowego.

Wieczorne pogadanki starej babuni.

Diokrowiska

V.

o zdrowiu.

Wiele już napisano i powiedziano przeciwko popularnym wykładom higienicznym, znajdując w tem niejako ubliżenie sztuce lekarskiej. Ale jeżeli kto w dobrej wierze chce przestrzegać bliźniego przed grożącymi mu klęskami, jeżeli nieumiejętnych i błędzących na lepszą chciałby naprowadzić drogę, tego, zaiste, brać mu za złe nie potrzeba. To też ośmielam się podać tu moim współrodaczkom kilka rad, tyczących się zdrowia, a zaczerpniętych ze źródeł bardzo poważnych.

Przy tegoczesnem ubieganiu się za iluzorycznymi dobrami tego świata, przy owych walkach o pieniądź i zaszczyty, jakie zwykle tak zwana cywilizacya pociąga za sobą, ludzie daleko wcześniej śmierć na siebie ściągają. Statystyka z ubiegłych lat kilkudziesięciu wykazuje jasno, że cholera, tyfus, ospa, szkarlatyna itp. choroby nie są najniebezpieczniejszymi wrogami ludzkości, bo zabierają swe ofiary tylko w pewnym przeciągu czasu, kiedy przeciwnie liczba osób, umierających w skutek wycieńczenia fizycznego, w zatruwających wzmagają się sposób.

Wiemy i widzimy często, że ludzie mogą bardzo późno osiągnąć starość, bo człowiek rozumnie żyjący nie podpada tak łatwo nawet zaraźliwym chorobom, jak ten, kto nierozważnie marnuje swe zdrowie wszelkiego rodzaju nadużyciem. Wszelkie bowiem przekraczanie owych kardynalnych reguł życia, jakimi są: umiarkowanie w jedzeniu i picciu, oraz używanie wiele ruchu, powietrza i wody, stają się źródłem i początkiem chorób najrozmaitszych, i są główną przyczyną tak wielkiej w naszych czasach śmiertelności. Życie skraca się przez wszystko to, co niszczy równowagę, czyli harmonią pomiędzy czynnościami duszy i ciała. Za wiele jedzenia i picia, lub głód i pragnienie; zbyt ciężka praca, lub spokój lenistwa; brak ruchu i świeżego powietrza; wilgoć w nędznych pomieszkaniach, brak światła słonecznego, lub zbyt mocno ogrzewane pokoje; również ciągle zimno i liche pożywienie; brak czystości w ubiorze; zbyt nęteżenie umysłu, jako i bezmyślna nieczynność; gwałtowne namiętności, jak: miłość, nienawiść, zazdrość,

strach, kłopot, pycha, wszystko to niweczy równowagę w istnieniu naszym i skraca życie.

Najpierw pomówimy tu o głównym czynniku zdrowia, to jest o powietrzu. Każdy dorosły człowiek potrzebuje do oddychania, a zatem do życia 600 stóp kubicznych świeżego powietrza na godzinę. I czyż to jest możebne w pomieszkaniach naszych bez otwierania okien? Zapewne, że nie. A przecież wiele jest osób, zwłaszcza pomiędzy starszemi, które uważają otwieranie okien za coś bardzo szkodliwego, reumatyzm a nawet apopleksyą spowodzającego, a już spanie w lecie przy otwartych oknach za rzecz istnie zabijającą.

A jednakże z jakim upragnieniem tęskni człowiek, złożony chorobą tyfusową lub inną gorączkową febrą, za chłodzącym prądem świeżego powietrza! Jak płaczą małe dzieci, gdy ich piastunka na dwór wynieść nie chce! Jak wznoszą się swobodnie piersi nasze, jak rozszerzają się płuca, jak raźniej, choć spokojniej, biją serca nasze, gdy nas ożywcze prądy świeżego powietrza owioną! — Sławny lekarz szwajcarski, dr. Sondereger, powiada w swem dziele: „Vorposten zur Gesundheitslehre:“ „gdy będę składał kiedyś rachunek z mej długoletniej praktyki lekarskiej przed Bogiem, nie policzyłby mi on zapewne za grzech tego, gdybym wszystkie szyby moim pacjentom powybił.“

Spać i mieszkąć w pokojach nieprzewietrzanych jest to samo, co pić wodę z brzydkiej kałuży, bo nawet w takiej wodzie nie znajduje się więcej zgnilizny i miazmów zepsutych, jak w powietrzu nieczystym. A my spędzamy prawie trzecią część życia naszego w sypialniach i bawialniach, w których stęchłe, zatrute i zepsute powietrze, jako morderca zdrowia i życia naszego króluje. Czem kaftan przymusowy, obecnie zniesiony, jako środek barbarzyński, był dla obłąkanych, tem jest pokój nieprzewietrzany dla zdrowych, a jeszcze szkodliwszy dla chorych i rozgorączkowanych. Kto więc utrzymuje ludzi w przesadach, że świeże powietrze, a mianowicie w nocy jest szkodliwe, ten oszukuje ich w dobrej wierze i pozbawia ich życia i zdrowia.

A teraz przejdźmy do wody. Już przed kilkunastu latami sławny chemik, Justus Liebig, powiedział, że prawdziwą miarą stopnia cywilizacyi w narodzie jest ilość lekarzy i

trzebowanego mydła; możnaby dodać, że prawdziwszą jeszcze miarą tegoż jest ilość spotrzebowanej na czystość ciała wody.

Widzimy, że cała skóra nasza pokryta jest drobnymi otworami, które porami nazywamy. Te pory przeznaczone są, aby przez nie ulatniały się, często w kształcie potu, zużyte już w ciele i niepotrzebne substancje; jeżeli więc pory te pokryje powłoka pyłu, wtenczas owe substancje pozostają w nas i znaczną przynoszą nam szkodę.

A jednak stósunkowo używa się u nas bardzo mało kąpeli, a nawet codzienne umywanie wodą całego ciała nie jest jeszcze wcale rozpowszechnione. Nie dziw już ludziom wiejskim, że o tem wszystkim wyobrażenia nie mają, czego dowodem, iż pewien chłop spytał lekarza, który kazał mu brać kąpiele, co ma włożyć we wodę, bo nie pojmował, aby kąpiel z czystej wody pomódz mogła. Ale słyszałam niedawno o pewnym profesorze przy uniwersytecie, że mył się tylko kilka razy przez rok. Gdy był zaproszony na bal maskowy i spytał jednego z kolegów, jakby się ubrać, aby go nie poznano, ten odpowiedział mu: „każ się ogolić i umyć się porządnie, a ręczę, że cię nikt nie pozna.“

Wszakże już za czasów Jakóba i Rebeki studnie w wielkiem były poważaniu, a Mojżesz policzył umywanie do obrządków religijnych. W starożytnych, klasycznych czasach miejsca, gdzie wytryskały źródła, były za święte uważane, a szczytki łaźnioków rzymskich i wodociągów ówczesne istnieją dotąd. W odkopywanem ciągle jeszcze, zapadłem mieście Pompei, najbardziej zadziwia podróży ilość studni i wodociągów, skąd wnosić można, jak wiele zużywano tam wody. Każdy dom miał na dziedzińcu wodotrysk, fontannę i jeszcze studnię, w którą się deszczowa woda zbierała. I w czasach średniowiecznych łożono ogromne sumy na upiększanie studni, prawie tyle, co dzisiaj na upiększanie świątyni Gambrynusa, z przyczyny których, niestety, tak bardzo dziś wodę zaniedbujemy, choć ona jest najzdrowszym napojem dla organizmu ludzkiego. Sławny doktor Virchow powiada: „Jest to prawdziwym tryumfem dla wiedzy ludzkiej, a mianowicie dla tak długo zapoznawanej, oczernianej Hydroterapii (kuracji wodnej) że dzisiaj chorych na tyfus leczymy, kąpiąc ich po 6 do 10 razy dziennie, a szkarlatynę, żarnicę i inne gorączkowe choroby tylko świeżem powietrzem i wodą.“

Mierność, która nawet w katechizmie policzona jest do siedmiu cnót, grzechom głównym przeciwnych, jest jedną z najgłówniejszych środków przedłużenia życia. W czasach, gdy ludzie żyli tylko produktami, które im ziemia wydawała, nie znano nawet z imienia chorób, dręczących dzisiaj plemię ludzkie. Wyrafinowane, dzisiejsze nasze potrawy, drażniące podniebienie w połączeniu z rozmaitemi, sztucznymi napojami, likierami, wódkami itp., owe otumaniające przysmaki kuchni i piwnie marnują nie tylko siły żywotne osób pojedynczych, ale i siły całych generacji. Po każdym bowiem rozdrażnieniu systemu nerwowego przez jedzenie i picie następuje zupełna apatya w skutek osłabienia tych głównych motorów organizmu ludzkiego, a ciągle powtarzanie tego podniecania i osłabienia prowadzi w końcu zupełne rozprzężenie, lub odrętwienie nerwów. Jakże często widzimy takie zdenerwowane osoby płci obojga, które w trzydziestym roku życia wszystkie swe siły żywotne przez rozmaitego rodzaju nieumiarkowania już całkowicie stargały. Sławny niegdyś w Rzymie doktor Corneliusz Celsus (10 lat po N. Chr. P.) powiedział: „Medicus cibi — medicus sibi,“ co znaczy: „kto żyje w mierności, ten jest swym najlepszym lekarzem.“ Hippel, przyjaciel filozofa Kanta, powiada: „Najlepszym środkiem do utrzymania zdrowia jest jeść wtenczas tylko, gdy się jest głodnym i to jeszcze nigdy się dostatecznie nie nasycić.“

Słyszymy często powtarzane owo z gruntu fałszywe przysłowie, że „z mięsa powstaje mięso.“ W skutek tego mniemania wielu zaleca używanie mięsnych potraw rekonwalescentom, chorobą wycieńczonym, a przecie ciało, osłabione chorobą, może tylko z trudem, gorączkę wzbudzającym, strawić potrawy mięsne. Tutaj to zastosować

Pał. v owo przysłowie ludowe: „Co służy kowalowi, to

szkodzi krawcowi.“ Pod krawcami rozumie się ludzi chorych i słabych, a dla tych mleko, owoce, jarzyny, jajka stósownem są pożywieniem; kowal zaś, czyli ludzie w pełni sił i zdrowia, mogą zjadać befsztyki i zapijać piwo, bo im to ani nocy bezsennych, ani migreny nie sprawi.

W grzeszeniu przeciwko temu wszystkiemu, co się roztropnym sposobem życia nazywa, leży powód owej niedoli, która się zwykle mianem słabowitego zdrowia oznacza. Nasze to, lub już rodziców naszych złe przyzwyczajenia, owo delikatne wychowywanie dzieci, niby roślin w cieplarniach. Ów zwyczaj siedzenia ciągle w ogrzewanych pokojach późno w noc, a długie spanie z rana, owo unikanie powietrza, ruchu, wody i jedzenie bez miary, są to grzechy, które sprowadzają na nas rozliczne choroby, a nierazdło o śmierć przyprowadzają.

Już rzymski lekarz Gelliusz wspomina o pewnych „morbi occuli“, to jest domowych i dworskich chorobach, jako cierpieniach wyższych stanów, wywoływanych przez zbytek w jedzeniu i picu. Stary Katon wzywał zdenerwowanych i osłabionych Rzymian, aby powrócili do życia w prostocie obyczajów, a historia wskazuje nam jasno, do czego ich doprowadziły ich uczty lukulusowe.

Pewien zmarły niedawno sławny lekarz i profesor przy uniwersytecie w B. powiadał, że niejeden Jaśnie oświecony pan, skazany na częste zasiadanie przy obiadach dyplomatycznych, prosił go o pomoc przeciw dręczącej go często migrenie, spazmom i bezsenności. Za pierwszy warunek leczenia podawał uczony lekarz tym panom, aby unikali owych sutych obiadów i zmienili sposób życia. „Tego nie podobna mi uniknąć“, odpowiedział raz taki niewolnik świata dyplomatycznego, „wypada mi koniecznie bywać na tych obiadach i żyć, jak dotąd, ale chciałbym być przytem zdrowym. Czy nie masz pan na to jakich pigułek lub kropli?“ Na to profesor uśmiechnął się, mówiąc: „Mój panie, dla ciebie nie ma lekarstwa.“

Wielu skarży się na bezsenność, której przyczyną jest zwykle zbyt obfita wieczerza. Ale zamiast pozbyć się przyzwyczajenia obładowywania na noc żołądka, wolą używać sztucznych sposobów usypiania, choć to sprowadza osłabienie całego systemu nerwowego i zawrót głowy, a w końcu śmierć, lub obłąkanie zmysłów.

Mleko i owoce są to pokarmy, zdolne naprawić wszystkie popsute soki w organizmie ciała ludzkiego. A jakże łatwo nam teraz nabywać winogron południowych, pomarańcz, jabłek tyrolskich, śliwek tureckich itd.! U nas w kraju wreszcie hodowla owoców także coraz się bardziej rozszerza.

Prostota życia jest znamię prawdy; prawdą zaś jest natura w swej harmonijnej równowadze, a zatem zdrowie. Ale w naszych czasach ludzkość oddala się coraz bardziej od prawdy i natury i oddaje się kłamstwu z wszystkimi jego następstwami, jakimi są chorobliwe wycieńczanie sił żywotnych i śmierć przedwczesna.

E. z K. P.

OAZA EUKALYPTUSOWA

TRAPISTÓW

W KAMPANII RZYMSKIEJ.

Mniej więcej o godzinę oddalenia od Porta San Paolo i piramidy Cestiusa leży w stronie południowo-zachodniej Rzymu, w ponurej nizinie Kampanii rzymskiej, starożytne opactwo Tre Fontane, czyli trzech źródeł. Podania, przywiązane do samotnej tej miejscowości, są równie posępne, jak ona sama, — od najdawniejszych czasów śmierć pod różnemi postaciami tu swe panowanie rozpościerała, ludzie i natura z równem tu rządili okrucieństwem.

Legenda opowiada, że tu św. Paweł śmierć męczeńską

poniósł i że dziesięć tysięcy chrześcijan, którzy pracowali nad budowlą termów Dyoklecjana w Rzymie, tu zamordowani zostali.

Tam, gdzie był stracony św. Paweł, wybudowano kościół, jemu poświęcony, w którym trzy wytryskują źródła; podług podania trysnęły one z ziemi z tych miejsc, które głowa św. męczennika w ostatnich śmiertelnych dotknęła podrygach.

Nad prochami dziesięciu tysięcy chrześcijan zaś wzniesiono w dziewiątym wieku świątynię, która dzisiajszą swą, piękną kopułą uwieńczoną postać, winna kardynałowi Al-dobrandini, bo on w początkach 17-go wieku przebudowanie jej sławnemu budowniczemu, Della Porta, polecił. Nazywa się Santa Maria della Scala.

Starszą o kilkaset lat od tych dwóch kościołów jest starożytna bazylika, poświęcona czci św. Anasztazego i Wincentego, a założeniem swym 6-go wieku sięgająca. O nią opiera się klasztor obszerny, kolejno zajmowany przez Benedyktynów, Cystersów i Franciszkanów.

Ale nawet żelazna reguła klasztorna walczyła napróżno z potęgą malarii, która teraz równie okrutnie, jak niegdyś Rzymianie z chrześcijanami, z mnichami się obchodziła. Febra tak niemilosierdzie dziesiątkowała zakonników, że wreszcie złowrogie to miejsce opuścić musieli.

W roku 1868 klasztor i kościoły zupełnie opuszczone były. dwóch Ojców Franciszkanów tylko codzień o wschodzie słońca tam się udawało, by odbyć mszę świętą i pobożnym rozdać wodę ze świętych źródeł. Nieraz dzień cały nikt nie zadzwonił u wejścia pustego klasztoru i w dni świąteczne tylko nieliczni się zbierali pielgrzymi.

Skoro ostatnie promienie zachodzącego słońca złożyły dachy trzech domów bożych, dwaj zakonnicy zamykali żelazne podwoje potężnego, z czerwonych cegieł portalu i wracali do Rzymu, unosząc może z sobą zarodek febrы zabójczej. Droge, którą codzień odbywali, żadne nie ocieniało drzewo i tylko wysokie ją odgradzały osty; wokoło cała natura nosiła jakby piętno śmierci. Bagniste strumienie toczyły swolna mętne swe wody, roznosząc zabójczą wyziewy; nieliczne domostwa o zakratowanych oknach i zamkniętych podwojach stały pustkami, bo mieszkańcy ich uciekli przed zarazą i wracali tylko w czasie sianozęcia, lub po to, aby kopać czerwoną glinę, zwaną Pozzolana, i wysłać ją czołnami na Tybrze tą samą drogą wodną, którą niegdyś Wschód swe skarby do możnego poselał Rzymu. Ze wzgórza dopiero, skąd już ostatni na Tre Fontane rozciąga się widok, zasmucony poprzecznym wrazeniem wędrowiec pocieszał wzrok swój malowniczym obrazem miasta wiecznego.

Taki obraz przed dwunastu laty przedstawiała okolica. Teraz wszystko inaczej. Już drogę, niegdyś pustą i samotną, ożywiają teraz liczni przechodnie na koniach i wózkach i spieszą nią robotnicy z kosami i widłami. Ze wzgórza, skąd niegdyś wędrowiec ze strachem na przybytek febrы spoglądał, wita teraz oko miły widok trzech, wznoszących się wśród bujnej i świeżej zieloności, kościołów. Nowi mieszkańcy zajęli starodawne opactwo i z ich przybyciem wszystko się zmieniło.

Pusty, kamienisty, od słońca opalony dziedziniec klasztoru zamienił się w ogród kwitnący, w którym szumią fontanny i róże wonieją, bluszcz okrywa stare mury i pyszne, płaczące wierzby otaczają kościół Santa Maria della Scala. W kościele św. Pawła obok trzech źródeł stoją ku wygodzie pielgrzymów kubki do czerpania świętej wody z napisem opodal na ścianie, bo z rzadką w kościołach włoskich starannością usiłowano tu zabezpieczyć od zniszczenia, i polecić uwadze pobożnych, pyszną, z Ostii sprowadzoną mozaikę, która jednej części pięknej świątyni za posadzkę służy. Starodawna bazylika św. Anasztazego i Wincentego jest teraz odnowiona i dziwne uczucie spokoju i podniesienia ducha ogarnia pod jej majestatycznym sklepieniem, gdzie nic uroczystej nie przerywa ciszy.

Cóż się tu stało? komuż się udało wydrzeć śmierci pole, nad którym od wieków bez przerwy panowała?

Wielkiego tego dzieła dokonała garstka ludzi, uzbrojonych w siłę woli i poświęcenie bez granic.

Z Francji przybyli Trapiści i przynieśli z sobą sprzymierzeńca, w którego mocy uzdrawiającej nieskończone pokładali zaufanie — niedawno odkryte australskie drzewo, Eukalyptus.

Usiłowania i prace tych mężnych, w białym habicie i czarnym płaszczu szermierzy, w dolinie Tre Fontane prawdziwą tworzą epopeę.

W roku 1868 przybyło ich 26-ciu, byli prawie wszyscy młodzi i silni, ale w krótkim przeciągu czasu większa ich część uległa potędze malarii i choć ich nowi zastąpili bracia, ci, których śmierć pominęła, do szkieletów chodzących raczej, niż do ludzi, byli podobni. Nieustraszeni jednak Trapiści walczyli dalej, nie narzekając nawet, bo wszakże ostra nad miarę reguła ich zakonu nałożyła im obowiązek wiecznego milczenia, więc pługiem i rydłem pracowali, sadzili eukalyptusy, winogrod i drzewa oliwne.

Nastał rok 1870. Rząd włoski rozwiązał klasztory i skonfiskował ich dobra, puszczając takowe na publiczną licytację. Złe to były czasy dla biednych Trapistów, którzy z dnia na dzień oczekiwali wypędzenia swego, ale że nikt, za żadną cenę, 400 hektarów ziemi, należących do opactwa Tre Fontane, nabyć nie chciał, więc Trapiści rozwiązani pozornie, pod nazwą „Stowarzyszenia rolniczego“ zadzierżawili od rządu początkowo tylko 36 hektarów i prowadzili dalej dobroczynne swe prace — a szybkość nadzwyczajna — z jaką się rozwijają eukalyptusy, wielką im była pomocą. Majestatyczne te drzewa rosną bowiem tak niesłychanie szybko, że te, któremi dziedziniec klasztoru zasadzono, już przewyższają dachy kościołów.

Trapiści 80 różnych gatunków eukalyptusu hodują i większa część takowych przetrzymuje zimę włoską. Dobroczynna działalność tego drzewa, które tyle absorbuje wody, że przez to nadzwyczajnie wpływa na osuszanie błotnistych gruntów, podczas gdy liście przez aromatyczne swe wyziewy powietrze od szkodliwych oczyszczają miazmów, dziś już powszechnie jest znaną.

Z liści i kory zakonnicy wyrabiają elixir przeciwko febrze i mają nadzieję, że ten z czasem drogą zastąpi chininę i ubogich mieszkańców Kampanii od skutków malarii zabezpieczy.

Lekarze wprawdzie włoscy nie wierzą w skuteczność tego lekarstwa, faktem jest jednak, że od dwóch lat żaden z zakonników na febrę nie umarł i że ogólny stan ich zdrowia i wyglądu o wiele się poprawił.

Rząd włoski „Stowarzyszeniu rolniczemu“ teraz 400 hektarów ziemi w wieczną wypuścił dzierżawę, pod warunkiem wszakże, że je uprawi i eukalyptusami zasadzi. To podwoiło czynność zakonników, a ten, któremu dozwolą przypatrzeć się bliżej swej działalności, ten, zaiste, z podziwieniem spogląda na owoc ich pracy.

Na wzgórzach widać tam dziś piękne winnice, pomiędzy niemi duże ogrody warzywne, szkółki wszelkiego rodzaju drzew owocowych, a wszędzie plantacje owego dobroczynnego drzewa i tysiące donic z młodei jego szczepami. Jedną z sal klasztornych zamienioną została na oborę z 50-ciu pięknymi krowami, a na bliższej łące pasą się owce, kozy, nawet konie i osły, które na swych grzbietach lub małemi, o dwóch kołach wózkami przewożą do Rzymu owoce tej ziemi, co tak długo uchodziła za zupełnie nieurodzajną.

Zakonnicy po większej części są Francuzami, do których się w ostatnim czasie kilku przyłączyło Piemontczyków i Niemców; zresztą przeor jeden zna nazwę i pochodzenie braci zakonnych i jemu jednemu mowa dozwolona. Znaną jest powszechnie ostrość reguły, której głównym przepisem jest praca bezustanna. Z pomocą też kilkudziesięciu braci laików zakonnicy pracują bez przerwy to w polu, to w ogrodach, to wreszcie jako gularze przy świeżo budujących się budynkach gospodarskich.

Za dziesięć lat spodziewać się można, że ta oaza, stworzona pracą Trapistów wśród pustej Kampanii Rzymskiej, rozciągnie się aż do Tybru. Krok za krokiem nie-zrównani ci robotnicy wydrą ziemię macoszej naturze i

złożą dowód, że jest możność zamienienia w żyzne pola wielkiej pustyni, otaczającej miasto wieczne.

Ale czy przykład ich znajdzie naśladowców? Czy właściciele pastwisk i trzód owczych i bawolich w Kampanii będą się chcieli wyrzec dochodów, które im takowe przynoszą, aby się podjąć trudnej i niebezpiecznej, kilkoletniej pracy, choćby im takowa później podwójny zysk przynieść miała? Wątpić o tem należy, bo gdzież wreszcie znajdują robotników z poświęceniem i zaparciem się siebie takim, jak u Trapistów z Tre Fontana?

N. z P.

BRACIA CIOTECZNI

Przekład z języka włoskiego.

(Ciąg dalszy.)

Zbliżali się właśnie pod oznaczony lasek do eleganckiej altanki, misternie składanej z dzikich gałęzi, gdy lekki szelest poza krzewami zwrócił ich uwagę w tę stronę. Matylda rozchyliła kolczaste krzewy, nie uważając nawet na ciernie, które jej w rękę zostały, i śledziła z gorączkową trwogą powód szelestu. W odwrocie spotkała się z zimną, kamienną twarzą Betiny. Odszokowała, jak na widok zmi.

— Ty tutaj?... co robisz? zawołała.

— Przynoszę nożyce do obcięcia kamelii, odpowiedziała, podając je niedbale.

— Dziękuję.... Tym słowem towarzyszył uśmiech wymuszony i taki wyraz oczu, że zdawał się mówić: zobaczmy!

Betina się odwróciła, a Matylda, tuląc się do ramienia młodzieńca, który zdumiony patrzył na poprzednią scenę, powiedziała głosem wzruszonym i zbyt podniesionym, jak na zwierzanie:

— Mój drogi Karolu, jakżeby mogła nie polegać na twojej miłości?... i zwyciężona prawie wzruszeniem, opuściła głowę na jego ramię. — Ale w tej chwili spotkała jego oczy; wyraz ich zimny, surowy, przestrzegł ją, że postawiła krok niewłaściwy. Pobladała okropnie, słowa jej zamarły na ustach, zakryła twarz dłońmi i niema, zsunęła się na blizką ławeczkę.

Młodzieniec popatrzył na nią chwilę, zakłopotany i pobladał — i, nie rzekłszy słowa, krokiem śpiesznym oddalił się pomiędzy zarośla lasku.

Bolesne uczucie zalegało mu serce, próżno przed sobą samym chciał tać jego naturę; było to coś, jakby... rozczarowanie, zbudzenie się ze snu. On ideał swojej miłości postawił tak wysoko, że sam czuł prawie, iż go żadna kobieta ziszczyć nie zdoła; jemu nie wystarczała w dziewczycy wstydlivość i skromność, szukał tego poczucia wyższości nieostentacyjnej, która jest wskazówką i towarzyszem cnoty. Przestałbym, mówił nieraz, kochać kobietę w chwili, kiedyby mi, niepytana, wyznała miłość swoją. Z Matyldą nigdy też nie mówił o sobie. W rzadkich razach, kiedy pozostawali sami, mówił jej o wszystkim, co wielkie, wzniosłe i szlachetne, bez wzmianki nawet o uczuciach osobistych, które się jemu wydawały tak małe. Matylda zdawała się rozumieć go i pojmować i czuł się szczęśliwym, że go nie zawiódł wybór.

Z takim usposobieniem musiał się czuć dotkniętym do żywego tem, co nazywał wyzywaniem, tem dziwnym wyłaniem niewywołanych nieczem uczuć, tem słowem: drogi mój Karolu, co mu brzmiało jak dźwięk fałszywy, jak zniewaga prawie.

— Ona cierpi, taki ma wyraz bólu w twarzy, mówiło mu serce, ale rozum zagadywał zaraz — i jakiej to cierpienie natury? Nie było to cierpienie fantastyczne, które

tak często ubezwładnia, rozprzega umysł, kiedy cierpienia rzeczywiste oczyszczają go i hartują? Młoda, piękna, bogata, wzbudzącą zazdrość, nie byłaż raczej wyposażona na najszcześliwszą kobietę? Pocóż ten wyraz zmęczony? te westchnienia sentymentalne?

Z tych ciężkich myśli wyrwał go lekki szmer zbliżających się kroków. Rzucił okiem na ścieżkę, wiodącą do pałacu i ujrzał Julię, zdążającą do domu.

— Panno Julio! — zawołał, idąc ku niej — cóż to? płaczesz?

— To łzy wdzięczności, — uśmiechnęła się zapłakana. Lekki rumieniec na twarz jej wystąpił, złożyła ręce, jakby nie mogąc wypowiedzieć tego, co przepełniało jej serce:

— Panie, czy wyrazić to potrafię...

— Nie ma dziękować za co, moja droga pani. Powiedz raczej, czy ojcemu twemu lepiej, czy był u niego profesor L.?

— Był! i nadeszłam właśnie w chwili, kiedy kończył badanie; z jakąż to robił względnością, z jakim miłosierdziem! Powiedział, dodała z blaskiem nadziei w oku, że ponieważ żaden organ życiowy nie jest nadwężony, wyleczenie nie byłoby zbyt trudne, gdyby tylko podnieść siły chorego.

— Doskonale, zawołał Karol z serdecznym zadowoleniem. I cóż porabia nasz drogi pacjent?

— Rozrzucony dobrocią twoją, panie, i mojej dobrej pani.

— Baronówny? spytał Karol, przybierając inny wyraz twarzy, czy ona taka dobra dla pani?

— Aż nadto dobra; od dwóch dni nie przestaje mnie obsypywać podarunkami i pieśczętami. Oto jeszcze pieśniadze, które mi dziś rano wcisnęła dla ojca.

Zwolna chmury schodziły z czoła Karola, rozpogadzał się, myśląc w duszy:

Biedna Matylda!... sądziłem ją nazbyt surowo.

— A co? chcesz jej pani to oddać? — spytał głośno.

— Oddać właściwie nie....

— Rozumiem, pan Grzegorz chce kogo innego tem obdarzyć....

— Rzeczywiście; staruszka, który leżał tuż przy nim w sali, ale na to czeka pozwolenia baronówny.

— Pójdźmy więc prosić o nie.

— Tak, pójdźmy, gdzie ona?

— Niedaleko, za tym szpalerem laurowym.

Rozmawiając, szli ku tej stronie.

Na odgłos słów tych i kroków Matylda wstrząsła się, jak wystraszona.

Karol... i Julia! — pomyślała. Ależ to złudzenie! dodała, trąc ręką rozpalone czoło.

Młodzi zbliżali się do niej z uśmiechem na ustach, a przecież na widok wyrazu jej twarzy wydali oboje krzyk zdziwienia.

Julia podeszła do niej, chciała wziąć jej rękę, pytając z troską:

— Co tobie, pani droga?... co tobie?

— Co mi ma być? — odepchnęła ją niecierpliwie, powstała i krokiem chwiejnym, gorączkowym, rzuciła się ku domowi, omijając ścieżkę, na której siedzieli baron z markizą.

Julia poszła za nią niespokojna i przestraszona, a Karol nieruchomy, z skrzyżowanymi rękami patrzył za odchodzącymi, aż zniknęli na zakręcie domu. Wtenczas, spuszczaając głowę z wyrazem troski:

— Boże mój! — zawołał, co to wszystko znaczy? jakąż mi to przyszłość wróży?

XXII.

Przyszedłszy do swoich pokoi, Matylda powiedziała tonem szorstkim, prawie opryskliwym:

— Odejdź, nie potrzebuję usług twoich.

Julia usłuchała, nie rozumiejąc zgola tego dziwnego postępowania, zamknęła drzwi za sobą, zmieniła suknie i brała właśnie robotę do ręki, kiedy ją doszedł z pokoju Matyldy jęk stłumiony.

— Może zasłabła, pomyślała — nie łatwiejszego — i nie uważając nawet, że się naraża na cierpką odprawę, drzwi otworzyła.

Matylda leżała na kanapie, jak martwa, okryta potem, choć cała w dreszczach.

— Przebac, dobra moja pani, mówiła Julia, zbliżając się do niej, zdajesz się ciepieć i...

— Tak, cierpię — przerwała Matylda, oddychając ciężko, zdaje mi się, że chorą poraz pierwszy w życiu.

— Biedna moja pani! zawołała Julia — biorąc z uczuciem jej ręce. Ale bądźmy dobrej myśli, przejdzie to, skoro się pani położy na chwilę.

Matylda nie odpowiedziała, jak dziecko pozwoliła się rozebrać i poprowadzić do łóżka. Julia nie bez trwogi zauważyła wypieczony rumieniec, który wystąpił po dreszczach, rozognienie ciała i zamglenie wzroku.

— Teraz pozwól pani, że pójde po markizę, — powiedziała, kiedy jej się zdawało, że chora nie potrzebuje chwilowo niczego.

Matylda poruszyła się niecierpliwie, Julia chciała ją przekonać z słodyczą.

— To jest konieczne, biedna markiza musi już być niespokojna po twojem nagłym zniknięciu, pani, i szuka cię już pewno.

Jeszcze słów tych nie domówiła, kiedy cichutki głosik: czy można? z pokoju przyległego potwierdził jej przypuszczenia.

Na ten głos Matylda zerwała się gorączkowo i kryjąc twarz na piersiach Julii, jak dziecko przed widmem nocy, zaczęła jęczeć tak głośno, że dziewczę nie wiedziało, co myśleć.

— Nie! nie! — powtarzała gorączkowo, niech nie wchodzi, niech ona nie wchodzi!... Wypędźcie ją!... Widzieć jej nie chcę!

Próżno Julia dawała znaki Betinie, która pomimo zakazu próg przeszła.

— Przyjdę sama pani donieść o wszystkim, dodała wreszcie.

Stara odpowiedziała spojrzeniem pół zdziwionem i drwiącem, ale odeszła. Matylda z czołem, przyciśniętem ciągle do piersi Julii, pytała z wyrazem przestrachu:

— Odeszła? rzeczywiście odeszła?

— Tak pani, uspokój się teraz, muszę odejść na chwilę i wracam zaraz.

— Dobrze, ale... zawołała, podnosząc głowę i wpatrując się w Julię wzrokiem, któremu gorączka dodawała niepokoju i ognia — ale pierwszej... zamknij drzwi zewnątrz i klucz weź ze sobą, a potem, Julio!... och! nie byłabyś zdolną mnie zdradzić... tak, czuję, ciężka mi grozi choroba; mięsza mi się rozum, lada chwila utracę zmysły... przyrzecz mi, przysięgnij, że nie dopuścisz do mnie jej, że mnie pielegnować będziesz ty, ty sama!

— Obiecuję ci to, droga pani, przysięgam zrobić wszystko, co chcesz.

Matylda upadła na poduszki, gorączka wznosiła się tak gwałtownie, że kiedy baron z markizą nadbiegli do chorej, znaleźli ją bezprzytomną, w malignie. Nie rozumiała nikogo, tylko kiedy markiza przypadkiem wspomniała Betinę, chora otworzyła oczy i potoczyła niemi wylekła. Zauważyła to Julia. — Nie bój się, pani, uspakajala, nie bój się, ja jestem tutaj.

Uspokojenie nagle chorej wskazywało, że zrozumiała dobrze tych słów znaczenie. Od tej chwili nie dawała znaku przytomności innego, tylko poruszała się niespokojnie, ile razy się Julia, choć trochę oddaliła, a uspakajala nagle, kiedy ją czuła przy sobie.

Choroba Matyldy krótka była, ale niebezpieczna. Cały dom był w poruszeniu, bo stara markiza, której troska o zdrowie własne przechodziła w fanatyzm prawie, — ze strachu, aby się nie zarazić szkarlatyną, przeniosła się w najodleglejszy kąt pałacu, dokąd na usilne jej nalegania, prawda, bez wielkiego oporu pociągnął także baron di Rosedas. Nieodstępna jak cień od swojej pani Betina i tam jej nie opuściła, tak, że w całym apartamencie pozostała

tylko Julia z chorą. Nawet i Julii proponowała markiza, aby ustąpiła miejsca najętej kobiecie, tem więcej, że zdaniem doktorów, ze względu na jej wiek, rzeczywiste groziło jej niebezpieczeństwo, ale dziewczę i słuchać o tem nie chciało, pozostała przykuta do łóża bóleści z takim uczuciem, odwagą, rezygnacją, jakie okazywała przy łóżu ojca.

W sercu Karola, ta choroba, to niebezpieczeństwo, podnieciło uczucie, przygaszone na chwilę, i objawiło mu całą jego doniosłość. Z tego mimowolnego niesmaku i tej myśli podejrziwej, z tego spojrzenia pełnego wyrzutu, pozostało tylko uczucie żalu głębokiego, ciężkiego. Wyrzucał sobie niesprawiedliwość, okrutną niesprawiedliwość. Czyż z naiwnego słowa miłości godziło się robić jej winę? Nie byłoby raczej jego obowiązkiem zbadać powód, dopytać jej bólu, zamiast przyniatać swoją zimną obojętnością? Jeśli żyć będzie, nietrudno naprawić złe, ale jeśli... biedny, stroskany umysł jego nie śmiał nawet zagładać w tę przyszłość.

Dręczony takimi myślami, przychodził kilka razy dziennie dowiadywać się o stan chorej.

Jednego dnia przecież, trzeciego od owego fatalnego wypadku, zajęty sprawami nadzwyczajnej wagi, nie mógł nawet nogą za próg swego domu przestąpić, odczytywał tylko gorączkowo lakoniczny biuletyn, po który rano posłał:

— „Stan letargiczny trwa zawsze, przerywany z rzadka atakami maligny. Z lekkich oznak profesorzy przypuszczają, że przesilenie blizkie, chociaż budzi raczej obawę, niżeli nadzieję.“

Godzina minęła dziesiąta, nie wiedział, co robić. Zanimby się dostał na przeciwny koniec miasta, będzie noc zupełna, a jak wytrzymać w tym niepokoju do jutra?

Biedny młodzieniec wstawał rozpaczliwie, — gorączkowo przebiegał pokój, wreszcie chciał popробować heroicznego wysilenia, położyć się w łóżko choćby tylko dla ukołowania tej niepewności męczącej, ale nie wiedzieć jakim sposobem, zdjawszy ubranie domowe, znalazł się ubrany do wyjścia — i bez wahania już wziął kapelusz i wyszedł.

Za pół godziny był przed domem ciotki. Niespokojnem okiem przebiegł wszystkie okna piętra; nigdzie najmniejszego promyka światła. Brama domu była zamknięta; uchyloną tylko boczną furtką wsunął się pospiesznie. I wewnątrz panowała cisza grobowa. Młodzieniec wchodził zwolna na schody, oświecone mdłym promykiem lampy, co miała zagasnąć każdej chwili i pogрузić go w zupełnej ciemności. Na skrócie pierwszego piętra posłyszał krok żyży, rozpoznał go dobrze.

— To ty, Janku? — Dokąd idziesz?

— Do apteki, biedna panienka bliżej śmierci, niż życia. Ale jakim sposobem pan tutaj, o tej godzinie? W pałacu śpią wszyscy, jak zarznięci! to hańba tak barbarzyńsko opuścić konającą!

Boże! — zawołał młodzieniec przerażony, ale Janek nie przerywał opowiadania:

— Na szczęście jest tam ta święta nasza, ta Julieta; od trzech dni nie rusza się od łóżka. Mam ją uprzedzić?... ale co prawda, pilno z lekarstwem, a drzwi na górze otwarte.

— Dobrze, idź, biegnij, i tak już zmudziłeś wiele.

Chłopiec popędził, jak wicher, a Karol zmieszany, drżący, przechodził próg salonu, z którego drzwi zamknięto do gościnnych pokoiów. Znikąd nie było słycać żywej duszy; ta cisza, samotność w domu, nad którym zawisła tajemnicza groza śmierci, wywoływały w umyśle uczucie dziwnego strachu, przerażenia; z drżeniem przyłożył rękę do drzwi, które prawdopodobnie do celu doprowadzić go mogły. Rzeczywiście, z głębi kilku pokoiów przez drzwi przymknięte tylko przyćmiony blask lampy wskazywał, że nie pomylił się w przypuszczeniu. Ożywiony tym widokiem, postępował omackiem, nieśmiało, po miękkich kobiercach, które krok jego tłumiły. Doszedł aż na próg blado oświetlonego pokoju i zatrzymał się niepewny, co począć, stuknął potem w kryształowe naczynie i głosem stłumionym wołał: — Ciotko! panie baronie! panno Julio!

Odpowiedzi nie było; młodzieniec, zwyciężony uczuciem, rozwarł drzwi, aby wejść, stanął jednak na progu. Nie był to pokój chorej, ale poprzedzający go, osamotniony,

wskazywał wyraźnie, czyjem był mieszkaniem. Widok tej skromnej komnatki, oświeconej blaskiem kryształowej lampy, co płonęła przed zasłoniętym obrazem, wywarł wrażenie uspokajające na umysł Karola. Powoli powracały mu myśli jasne, i wtedy zmieszany i żalujący czynu niedyskretnego, chciał wracać natychmiast, kiedy się po cichu otwarły drzwi główne i ukazała się w nich Julia. Na niespodziany widok mężczyzny dziewczę cofnęło się przestraszone, co podwoiło pomieszczenie Karola. Rozpoznała go jednak prędko i odgadując powody jego przybycia, przybliżyła się, przerywając wymówki, którymi się tłumaczył.

— Mój Boże! mówiła z wyrazem szczerzej życzliwości, rozumiem, co pan odczuwać musi, nasza chora jest w stanie, którego sama określić nie umiem. Nie wiem czemu, w sercu przecież czuję promyk nadziei, bezwładność nie tak już ciężka, członki nie mają już tej sztywności trupiej prawie, ani drgań konwulsyjnych; chwilami zdaje się, jak by się ruszała. Czekajmy, co Bóg da. Ale pan, dodała z troską, nie powinien pozostać tutaj, ta atmosfera szkodzić mu może.

— A pani?... której życie tak drogie ojcu uwielbianemu?

— Mnie?... zawołała żywo, ocierając ukradkiem dwie łzy gorące, to mój obowiązek; od dopełnienia go nawet myśl o ojcu wstrzymać mnie nie powinna. On sam, znam go, byłby niepokieszony, gdybym zrobiła inaczej. Wyjdź pan teraz, błagam, wyjdź pan stąd.

— Nie! nie! odparł gorąco, pozwól, że poстанę tutaj chwil kilka, niech nie odchodzę z tą straszną niepewnością.

— Niech i tak będzie! odparła Julia łagodnie i przysunęła krzesło do klęcznika, odchylając z stojącego na nim obrazu zasłonę, która ukazała malowidło niebiańskiego wyrazu.

— Jaka śliczna Madonna! zawołał młodzieniec i zsunął się na krzesło z twarzą w dłoniach ukrytą.

Julia powróciła do chorej. Pół godziny pozostał Karol w niemem oczekiwaniu. Nagle na jęk głośny zadrgało mu serce; było to pierwsze przebudzenie się chorej, przyjście do przytomności. Po kilku minutach weszła Julia promieniąca radością i schylając się do ucha młodzieńca, szepnęła drżącą: Uratowana.

Zasłoniła obraz i zapaliwszy świecę od lampy, dała znak Karolowi, aby szedł za nią. Zaprowadziła go o dwa pokoje dalej i postawiła świecę na stole.

— Tutaj, mówiła, możesz pan pozostać do woli, tam nie. Boleść, uczucie, mogłoby pana zdradzić, a chora tak potrzebuje spokoju! Niechaj Bóg broni! takie wzruszenie mogłoby ją zabić. Ja pójdę pomodlić się, podziękować Madonnie.

— Śliczna, prześliczna ta Madonna pani, kto ją malował?

— Mój ojciec.

— Doprawdy? — a przecież inne imię czytałem tam podpisane.

— Jest to imię... osoby, której był przeznaczony; długa to historia i smutna. Zatrzymać się dłużej nie mogę; do widzenia, panie.

— Jeszcze chwilę, panno Julio, zawołał błagalnie. Powiedz mi, nie jest to złudzenie tylko? Jestże to prawda, że mi ją Bóg powrócił?...

— Co do mnie nie wątpię o tem — i proszę Boga o szczęście dla was obojga.

— Dzięki ci, dobra, droga pani! — odpowiedział Karol z wzrastającym uczuciem. Ja także błagam o szczęście dla ciebie — ale czy szczęście ziemskie nie jest rzeczą zbyt niską dla takiego, jak pani, anioła?

Julia nie dosłyszała już końca zdania, krokiem szybkim, jak ktoś, co ucieka przed niebezpieczeństwem, z którego sobie dobrze sprawy nie zdaje, przebiegła dwa ciemne pokoje, a przyszedłszy do swego, zsunęła się w krzesło i wybuchła płaczem. Był to łyż upojenia czystym, choć gorącym pragnieniem, spełnionem w połowie... a w połowie blizkiem spełnienia?... Była to radość teraźniejszości?... nadzieja przyszłości?... — Nie! uczucie, które te łyż wywołało, było jakieś inne, odrębne, ona sama go nie rozumiała,

a może w głębi serca bała się je poznać i zbadać. Cobądź, była to chwila krótka i przeszła prędko i Julia z spokojem na twarzy powróciła do boku chorej.

Matylda z każdym dniem odtąd powracała do zdrowia. Po ośmiu dniach, choć słaba jeszcze i wsparta na ramieniu Julii, wchodziła do salonu, witana przez ojca, przyjaciółkę, a tem goręcej przez kochanka. To prawda, że jej piękna twarz nie przybierała wyrazu tej radości żywej, głębokiej, którą witają życie ci, co utraty jego byli tak blisko. Była raczej smutna, trochę niespokojna, a starania Karola wzruszały ją więcej, niżeli radowały. Młodzieniec uważał zmianę jej usposobienia tak otwartego, żywego i swobodnego dotąd, był nim zasmucony, zaniepokojony, ale kochał niemniej. Może nawet miłość jego, aż dotąd zbyt nieokreślona, idealna, przybrała teraz formę stalszą, zwyczajniejszą. Badając cierpienia wewnętrzne swojej wybranej, i przypisując je niezaspokojonej potrzebie wylania, czekał tem niecierpliwiej chwili, w której uświęcony węzeł da mu prawo i sposób usunięcia wszelkiej niepewności. Niedługo też podniesiono kwestyą małżeństwa oficjalnie i oczekiwano lada dzień metryk z Kadyksu, gdzie się dziewczica rodziła. Na ślub zostałznaczony ostatni dzień miesiąca.

XYIII.

Wśród zajęć bogatą wyprawą prędko zbliżał się dzień ślubu. Julia, której dobremu gustowi powierzono zarząd tej pracy, nie miała i chwili wytchnienia. Co do pierścienia ślubnego innego nie chciała mieć Matylda, jak pierścionek swojej matki: wielkiej wartości rubin, osadzony w szeroka oprawę złotą. Ponieważ jednak trochę był uszkodzony, Karol uważał za konieczne powierzyć go złotnikowi, pomimo niewytłomaczonego uprzedzenia fantastycznej narzeczonej. Oddając mu go wreszcie, powiedziała:

— Nie wiem, co to jest, Karolu, ale najzupełniej się boję powierzyć pamiętkę tę obcym rękóm.

Młodzieniec uśmiechnął się z tych przesądnych uwidzeń, ale uśmiech ten znikł mu z twarzy, kiedy w parę godzin potem wracał do domu ciotki. Przeciwnie, był blady, wystraszony, przybity; Matylda, która zadowolona, błyszcząca wybiegła na jego przyjęcie, nie mogła powstrzymać okrzyku zdziwienia.

— Na Boga! co się stało, Karolu?

— Och! Matyldo, czy mi przebaczysz?...

Te słowa, wymówione z wysileniem, wywołały na twarz Matyldy płomień gorący.

— Co takiego, Karolu? spytała bojaźliwie.

— Miałś przecucie, pierścionek twojej matki, nasz pierścionek ślubny...

— Co?

— Zgubiony! skradziony!...

— Zgubiony! skradziony!... powtórzyła drżącą — jak?... przez kogo?

Niemale było zdziwienie barona i markizy, którzy nadeszli w tej chwili, na widok Matyldy, płaczącej obok Karola zakłopotanego i zmieszanego.

Dowiedziawszy się, o co chodzi, oboje zaczęli uspokajać to przesadzone i nierozsądne zmartwienie.

— Nic łatwiejszego, jak temu zaradzić, mówiła markiza, obstalujemy natychmiast pierścień piękniejszy i kosztowniejszy, a...

— Kosztowniejszy od pierścienia mojej matki?... przerwała z żalem Matylda.

— Kosztowny był on, zauważył baron, ale nie dobrej wróżby, to pewna, i... dodał z wyrazem, który nie był właściwy ani jego głosowi, ani fizjonomi — życie małżeńskie biednej Dolorydy nie było zasłane różami.

Dziewica odpowiedziała spojrzeniem, które zdawało się mówić: Hańba temu, który je skrócił i zatrui! — On, jakby płacąc to milczenie wymowne, przybrał dawny wyraz zimny, odpychający. Matylda łyż otarła i mówiła, potrząsając smutnie głową: — Dla mnie przeciwnie ta zguba smutną jest wróżbą.

— Ale jest jeszcze nadzieja odzyskania go, pocieszał

Karol, i ochłonałszy nieco z wzruszenia, opowiedział, jak przyszedłszy do sklepu złotnika, położył pierścionek w pudełku na stole, pokazując, co było do zrobienia. Tymczasem powstał hałas niezwykle na ulicy; obaj zwrócili się do drzwi, aby spytać, co się dzieje. Krzyki, tartas, zamięszanie ogromne.

— W tej chwili, mówił dalej, wszedł ktoś do sklepu, nie zwróciliśmy na to uwagi, aż kiedy uciszyła się wrzawa, złotnik zwraca się do mnie, próżne słowa... pudełko z pierścieniem znikło bez śladu. Szukamy, przewracamy, pytamy — napróżno! Rozpoczynamy indagację pomiędzy ludźmi i po długich rozprawach dochodzimy do przekonania, że złodziejem być musiał jakiś młodzieniaszek, którego widziano wchodzącego i wychodzącego pośpiesznie. Policja jest na jego tropie, a niełatwo jej się kto wymknie.

Pocieszona tą nadzieją Matylda, przepraszała Karola za słowa zbyt żywe, które jej boleść podsunęła, i rozeszli się.

Nie minęło dwóch godzin, młodzieniec był już z powrotem. Był zadowolony, tryumfujący, z oczu mu czytać było można dobrą nowinę — ale panie wyszły na miasto, komu jej udzielić?... Zniecierpliwiony tą przeciwnością, miał wydobyc z kieszeni ołówek, aby nakreślić bilet, ale rozmyślił się inaczej.

— Dam polecenie Julii — powiedział sobie, to sposobność zobaczenia jej znowu

Po chwili wchodziła wezwana, trzymając jednak chustkę batystową, na której cieniutką nitką znaczyła cyfry narzeczonej.

— Dobry wieczór, panno Julio — zaczął młodzieniec, już więcej jak tydzień nie widziałem pani. Wreszcie...

— Mam tyle zajęcia — przerwała i dodała z powagą i wdziękiem: wybaczy pan, jeśli poproszę o prędkie rozkazy, tak mi pilno odejść.

— Co za pośpiech, wszak wiesz pani o skradzeniu pierścienka?

— Tak jest, panie.

— Otóż złodziej złapany na gorącym uczynku siedzi w areszcie. Wyznaję jednak, że mi go żal szczerze, w dziecinnym zaledwie roku, już zbezczeszczone! Mówiono mi jego nazwisko, jest z rodziny mieszczańskiej, jakiś Gotiero, zdaje mi się... nie, nie, Gwido... Gwido Delwerde.

— Boże! mój Boże! — zawołała Julia, zachwiała się i byłaby padła na ziemię, tylko ją Karol powstrzymał.

— Panno Julio, co to znaczy? spytał, nie wiedząc, co myśleć.

Julia w pół omdlała, nieprzytomna, ze złości sił raszła, aby się wysunąć z rąk, co ją powstrzymały, i upadła na krzesło bez jęku, bez słowa.

— Mój Boże! biedna Julio!... powtarzał Karol, mów, tłumacz się, na miłość Boską!

Julia nie była w stanie odpowiedzieć, bledłość jej twarzy przechodziła w sinosć trupa; Karol zwrócił się ku drzwiom, aby wołać o pomoc, dopiero wtenczas wstrząsnęła się nagle, wstrzymując go ruchem gwałtownym. Potem, zwracając na Karola spojrzenie, w którym się malowała boleść bezmierna:

— Ach! panie! — wymówiła z wysileniem, to imię... i tchu jej zabrakło.

— Jest pani może znanem? odparł, jakby chcąc jej dopomóc

— To imię mojego... ojca... to imię moje... wymówiła z wysileniem, i rumieniec wstydu na twarz jej wystąpił.

— Czy podobna! mój Boże! ten nieszczęsny młodzieniec byłby...

— Moim bratem, jedynym bratem moim.

— Ktoby się tego spodziewał! Co za dzień fatalny... Syn! ależ pan Grzegorz nie mówił mi nigdy, żeby miał syna, oprócz tego aniołka, co z ziemi uleciał.

— Biedny mój ojciec!... dobre imię było dlań wszystkim, wszystkim, co mu na ziemi zostało.

— Ależ ojciec pani nie dowie się o niczem, zresztą każdy odpowiada za czyny własne; — będziecie nadal używali oboje czci i miłości, których tak warci jesteście.

— Używali?... panie!... używali! powtórzyła z rozpaczą, cóż to znaczy dla mnie? czego ja użyć mogę z ojcem w szpitalu?... z bratem shańbionym... w galerach?

Karol umilkł na chwilę, potem tonem stanowczym dodał:

— Nie, pani, nie! brat twój nie pójdzie w galery, imię twojego ojca, twoje imię nie będzie przedmiotem publicznej hańby.

Dziewczę potrząsło głową niedowierzająco, Karol zamyslił się przez chwilę.

— Zresztą nie jest pewnością, dodał, aby brat pani był tym przestępcą, on przeczy, jakoby... przeczy, utrzymując, że ten pierścień jest jego, a...

— Bezwstydy! — przerwała, drżąc Julia. Gwidzie! och! Gwidzie... A jednak nie wydawał się złym w gruncie! Czy podobna w tak krótkim czasie upaść tak nisko! A jego, a nasza matka?... co się z nią stanie? On był jej ulubieńcem... straszne sądy Boże!

— Uspokój się, moja biedna Julio, — mówił z uczuciem młodzieniec. Cierpiałas już tyle...

— O! nigdy, nigdy tak okropnie, jak dzisiaj. Nie znałam dotąd, co to łyż hańby. I wybuchła łkaniem gwałtownym.

— Na miłość boską! błagał Karol — niech pani nikt nie słyszy. Ten smutny wypadek tajemnicą pozostać musi. Tak, przysięgam ci na honor, nikt, nawet moja ciotka, nawet Matylda wiecieć nie będą imienia obwinionego.

— Przecież sąd będzie publiczny — zauważyła ze łzami.

— Byłby... gdyby do tego przyszło, ale jeśli jutro, w dniu wyznaczonym na badanie, pomiędzy rozmaitemi przedmiotami, które mi przedłożą, nie rozpoznam tego, którego szukam, sąd przepada i sława twojego brata uratowana.

— Daj Boże!... zawołała, podnosząc załzawione oczy ku niebu.

— Bądź więc spokojna, panno Julio, do widzenia!

Miał wyjść z pokoju, kiedy go Julia zatrzymała nieśmiało.

— Panie, mówiła z spokojniejszą już twarzą, nie chciałabym pominąć tej smutnej sposobności zobaczenia mego brata i usłyszenia czego o matce. Właśnie mam jutro kilka godzin wolnych na odwiedzenie ojca, mogłabym ich użyć na spełnienie tego drugiego obowiązku. Ale gdzie, i jak widzieć się z Gwidem?

Karol zawahał się chwilę.

— Dla czegobys pani przyjść nie miała tam, do sali sądowej? Będę tam także i postaram się o to, aby ci dać sposobność mówienia z bratem. Rumienisz się pani? może myśl tej sceny obawą cię przejmuje? Przynajmniej...

— Niestety, gdybym przynajmniej ufać mogła, że on wyjdzie niewinny!...

— O! tak! bądź tego pewna — odpowiedział Karol z takim wyrazem stanowczym, że umysł jasny i szczery dziewczęcia nie mógł zrozumieć tajemniczego tych słów znaczenia.

Julia wyciągnęła bezwiednie rękę, którą Karol ściskając, jakby dla włania otuchy, dodał: — Nie, syn pana Grzegorza, brat Julii winnym osądzony być nie może!

— Dzięki ci, panie, ale co powiedzieć paniom o tej wizycie?

Karol wyjął bilet, nakreślił słów kilka i oddał Julii, mówiąc.

— Oddaj pani ten bilet ode mnie Matyldzie. — Do jutra więc.

Dnia następnego o oznaczonej godzinie stanęła Julia w sali sądowej; z rumieńcem pomieszania widziała zwrócone na siebie oczy gawiedzi i sług sądowych, którzy z zdziwieniem spoglądali na tę postać, tak różną od innych wyrazem i układem. Nie uszło jej uwagi, jak w rogu sali jakiś człowieczyna z miejska ubrany, trącił łokciem swoje towarzyszkę, pytając:

— Patrzo, kto może być ta bleda dziewczyna z miną strapioną?

— W sukni eleganckiej, wyobraź sobie, odpowiedziała stara, mrugając złośliwie, ani mniej, ani więcej tylko siostra posądzanego.

Julia pochyliła twarz w dłoń. Miał zażenować takiego upokorzenia doczekać rozmowy z bratem? Szczęściem usłyszała swoje imię wymówione cichym szeptem, podniosła głowę, a wzrok przyjacielski Karola wlał jej otuchę w serce. Młodzieniec zaprowadził ją na ławę sędziego, posadził obok siebie, szepcząc z troską:

— Bądź pani dobrej myśli; nie obawiaj się niczego. Ale otóż i obwiniony! Biedny młodzieniec!

Gwido rzeczywiście przechodził próg pomiędzy dwoma żandarmami; widok jego obudzać musiał nawet wśród obojętnych uczucie litości. Na pierwszy nawet rzut oka niepodobna było oznaczyć, czy ta śmiertelna bladeść twarzy, zapadłe oczy, spojrzenie błędne i przybite zapowiadały chorobę, występki, czy boleść.

Przeszedł na środek sali, a wtedy, rzucając wzrokiem naokół, spotkał się z wzrokiem siostry. Julia nie zrozumiała się, ale podpierając twarz dłonią, wpatrzyła się w przestępcę nieruchomie, tym wzrokiem, co go męszał nieraz, a przybił i pokonał w tej chwili. Próżno usiłował zapanować nad sobą, poczuł drżenie gwałtowne w wszystkich członkach, czoło zalało się potem zimnym, w jednej chwili nogi zachwiały się pod nim tak, że go żandarmi przytrzymać musieli. Sędzia, widząc obwinionego blizkim omdleniem, kazał go posadzić; stawiając potem podług przepisów prawnych na stole pudełko z klejnotami, wezwał pana Karola Delorme do rozpoznania zgubionego przedmiotu. Karol wyjmował po kolei pierścionki rozmaitej formy, oglądał uważnie, i oświadczył przy ostatnim, że nie ma pomiędzy nimi tego, który mu został skradziony. Wtenczas wezwał urzędnik obwinionego, ażeby odebrał swój klejnot. Gwido napróżno usiłował powstać.

— Nie mogę, wyjąknął, źle mi... Szmer współczucia podniósł się w tłumie. Karol, poprosiwszy o pozwolenie sędziego, wyjął sam pierścione i podając go młodzieńcowi:

— Weź go — powiedział głosem stłumionym, ale wyraźnym. Prawda, że być obwinionym niesłusznie o czyn tak hańbiący, przykro jest i okropnie, ale nieszczęśliwy tylko ten, kto ma rzeczywiście zbrodnię na duszy, choćby nawet ukarany nie został.

— Zatrzymaj pan pierścień... jękał nieszczęśliwy, oszczędź mi uragań!

Karol nie uważając na słowa, które zresztą sam tylko mógł dosłyszeć:

— Weź go — dodał — jesteś tak młodym, niech ci ten nieszczęsny wypadek będzie nauką, jak strzedz honoru, którego utraty byłeś tak blisko; niech ci przypomina, że nazwisko, które nosisz, jest także nazwiskiem twojego ojca i twojej siostry.

— Ojca!... siostry! — powtórzył Gwido, chwytając nieprzymtomnie pierścione, który mu Karol w rękę wkładał.

Przeprowadzono go do osobnego pokoju, dokąd i Julia nadeszła. Rozmowa ich była długa i żywa. Z początku Gwido odepchnął szorstko kochającą dziewczę, spodziewał się bowiem zasłużonych wymówek i wyrzutów; powoli jednak, zwyciężony jej słodyczą niepokonaną, rzucił się jej w ramiona, i z drżeniem bolesnym opowiedział jej smutną historią ostatnich kilku tygodni. Niewinna, czysta Julia słuchała z tą samą wyrozumiałością, wyznania zbrodni, jak niegdyś wyznań niedowiarstwa; w jej sercu nie było innego uczucia oprócz litości, na ustach innych słów oprócz przebaczenia i otuchy.

Gwido opowiedział, jak z matką schronili się z początku do domu wuja Makarego, który, zajęty własnymi sprawami, nierad był temu przybytkowi kłopotów i niedługo kazał im szukać przytulku gdzieindziej.

Tymczasem sumienie wyrzucało mu ciągle jego niesprawiedliwe postępowanie z ojcem i to go w taką popchnęło rozpacz, że pędząc bez pamięci czarną drogą występków, stanął nad rozwartą przepaścią. Widzieliśmy już, że skłonny z natury do najzłobniejszych namiętności, dawał im się z wolna owładnąć; z przybyciem do domu siostry, czuł nie-

jako rodzaj hamulca w jej miłości, przykładzie. Czuł się jakby oczyszczony, uszlachetniony od tego spojrzenia gołąbki, która mu się uśmiechała czysto — pociągającym uśmiechem miłości. Instynktem niezupełnie zepsutego sumienia tę nieśmiałość, surową często miłość siostry cenił nieskończenie wyżej, aniżeli ślepą miłość matki; dla pozyskania jej szacunku żadne wysilenie nie zdawało mu się niepodobnem. Prawda, że ulegał łatwo pociągowi, namiętności, fatalnym podżeganiom matki, która, jak widzieliśmy, umiała go podburzyć przeciw ojcu i siostrze. Ostatnia scena stała się fatalną, zabójczą dla umysłu Gwida.

— Jak tchórzowi nikiemnemu — opowiadał złamany, zabrakło mi potem odwagi, aby z życiem skończyć, chciałem jego ciężar zmniejszyć i w odurzeniu szukałem ochrony przed wyrzutem. Nie dziw, straciłem poczucie godności, zdeptałem wszelkie względy — topilem się w grze i zbytku. Po łatwych i grubych wygranych nastąpiły straty coraz straszliwsze, zgrałem się wreszcie tak, że została tylko moja licha dusza dla diabła... Oszalały, zrozpaczony, chciałem się odbić jakimkolwiek kosztem; grałem dalej, przy każdej wygranej podwajałem wstawkę, którą traciłem następnie. Kłamstwem wydłużyłem z matki wszystko, co zebrała przed parę miesięcy pracą i oszczędnością... biedna kobieta!... Hańba mojego postępowania stała się głośną, ona jedna nie chciała jej dawać wiary, ona jedna przysięgała, że jej syn najuczciwszy pod słońcem; miłość ją zaślepiła, a ja nieszczęsny, ja, ojciec prawie... i złodziej... ja ją oszukiwałem.

Nieszczęśliwy rzucał się rozpaczliwie, łamał ręce, rwał włosy, a Julia głosem, który mu targał serce, mówiła:

— Ty... więc... jesteś istotnie winny przypisanego ci występku?...

— Tak! Julio... tak!... Ale po tem strasznym zeznaniu nie mógł już wymówić słowa. Po kwadransie wreszcie udało się naleganiom Julii wydobyć z niego resztę smutnej historii. Po wypędzeniu z domu wuja, schronili się przy rodzinie bogatego piekarza, który niedługo uwiadomiony o postępach Gwida, drzwi im swego domu pokazał. Biedna matka była odtąd zmuszona zamieszkać nędzną połowę chaty, raczej do budy psa, niżli do ludzkiego mieszkania podobną. — Gwido włóczył się po domach osławionych. Nocy następnej po spełnionej kradzieży nie przeszedł nawet jeszcze nędznego swego progu, bo wpadła na niego policja, kiedy jeszcze przedmiot skradziony miał w ręku. Nieszczęsna matka na to obwinienie, na widok pierścione, padła rażona apopleksją. Co się z nią potem stało, tego Gwido nie widział; brzmiały mu tylko słowa okropne, ostatnie, które wyszły z ust macierzyńskich: Zabijeś mnie!... Gwidzie!

— Co robić teraz? — spytało dziewczę, wysłuchawszy do końca okropnej historii.

— Co robić?... powtórzył z rozpaczą. Kilka chwil przeszło w milczeniu, Julia zamyśliła się głęboko, potem Gwido dodał z spokojem przyniatającym.

— Julio, zabierzesz ten pierścione, aby go oddać temu panu, który tylko przez wzgląd na ciebie mógł być tak wspaniałomyślnym. Podziękuj ode mnie także; niestety, jego szlachetność i twoja, moja biedno siostro, na nic mi się przydać nie mogą. Honor mój przepadł... i życie... mam nadzieję, nie pociągnie się długo, w jakibądź sposób je skończę....

— Skończysz, jak człowiek uczciwy — przerwała z słodyczą Julia.

— Niepodobieństwo!

— Och! i on mówił tak samo, nasz biedny ojciec, a dzisiaj, to święty! wiesz o tem Gwidzie?

— Ale on obraził tylko Boga; Bóg przebacza łatwo... społeczność jest nieprzełagana.

— Masz słusność, Gwidzie, Bóg jest miłosierny, bo tak wielki; my surowi, bośmy nędzni. Ale usiłowania pełne godności, walka ku podniesieniu się są rehabilitacją nieraz wobec ludzi; gdyby i tak nie było, cóżby znaczył ich sąd dla ciebie, byleś odzyskał łaskę Boga, spokój sumienia, szacunek twoich ukochanych?...

— Moich ukochanych... Julio, moich ukochanych?... powtórzył z niewymowną goryczą.

— Tak, biedny mój Gwidzie. Myślę, że nie wąpiłeś nigdy o uczuciu mojem; co myśleć o matce, nie wiem, ale to wszyscy wiedzą, że jeśli jest na świecie serce wyrozumiałe i przebaczące, to pewno serce matki. A ojciec? możesz nie uczuć się szczęśliwym, jeśli się rzucisz w jego ramiona?

— Do nóg jego chyba, Julio, — ale i tegobym uczynić nie śmiał, nie! nie....

— Biedny Gwidzie!... w tej chwili pewno nie, wzruszenie byłoby zbyt żywe dla ciebie i dla niego może, ale za kilka dni, gdy się obydwa do tego przygotujecie...

— I myślisz, że onby mi przebaczył?

— On ci już przebaczył dawno, dawno!...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KRONIKA MIEJSCOWA.

Opustoszały Poznań przez wyjazd uczącej się młodzieży płci obojga i wielu innych jego mieszkańców, co podążyli spędzić najgorętsze w roku tygodnie do wód, lub na wieś, przyodział dawną swą szatę, a jeżeli dla przebywających z innych, szczęśliwszych stolic przedstawia on zawsze mało ruchu, ożywienia, i mało dostarcza przyjemności, ha! to już wina naszego politycznego położenia i niewesołych stosunków. Inne miasta mają i w lecie swoje rozrywki, są tam ogrody, ogródki, w nich muzyka lub przedstawienia dramatyczne, letnie teatru, u nas i tego nie ma, a z tego, co jest, my korzystać nie możemy, nie chcemy, bo Polakowi ciężko oddychać obcą atmosferą, bo w urzędzie, w szkole i na ulicy nasłuchawszy się mowy cudzoziemskiej, pragnie przynajmniej w chwili wytchnienia poić swe uszy rodzinnymi dźwiękami i w swojej ojczyźnie czuć się u siebie. Dla tego też z wielką radością powitaliśmy jedyny polski, publiczny ogródek, jaki dla ogólnej wygody i przyjemności wynajął i urządził w właściwy sposób, zaopatrując go we wszystko, czego wymagać można, p. Żurkowski obok naszego teatru. Sądźmy, że nie potrzeba zachęcać nikogo do odwiedzania tego miłego ogródka, bo wszyscy chętnie zbieramy się tam wieczorami, pewnymi będąc, że miłe towarzystwo, dostatek pism i dzienników polskich, uprzejmość gospodarza, skora i dobra usługa zawsze tam znajdziemy. Skorośmy tak blisko teatru, naszego narodowego teatru, niepodobna nam ominąć sposobności, aby społeczeństwu polskiemu, a przede wszystkim zacnym Polkom nie przypomnieć, w jak trudnych, wyjątkowych znajduje się on warunkach. Wszędzie teatru, jeżeli mają godnie pełnić swoje zadanie, dostają pomoc z publicznych funduszków; nie mówiąc już o obcych, wymieniamy przynajmniej inne polskie, z których teatr lwowski pobiera dochód z sum wydziału krajowego, warszawski zaś z kasy państwa, poznański tylko jedyny żyje pozbawiony wsparcia wszelkiego. Podniesiona ostatnimi czasy myśl zebrania stałego funduszu, od którego procent ma służyć na podtrzymanie ubogiej sceny tutajszej, ze wszech miar zatem zasługuje na poparcie i całemi siłami starać nam się trzeba, aby jak najwięcej wpływało składek, aby się rzeczywiście zebrała suma, mogąca stanowić dostateczny fundusz subwencyjny. Wiadomo, że i najmniejsze kwoty przyjmowane bywają chętnie, skoro składkę nazwano na et ogólnie 10 fenygowa, słusznie się od niej wymówić nikt zatem nie może, ale to jeszcze nie dosyć: dając samemu, potrzeba i drugim do tego nakłaniać, używać słów wymownych, budzić uśpiony zapal, zainteresować wszystkich tą ważną kwestyą. I któż lepiej dokonać tego potrafi od kobiet naszych? Umiemy być doskonałymi adwokatami każdej sprawy, która nam leży na sercu, weźmy więc obecnie i tę do serca, zajmijmy się nią szczerze, nie oglądając się na drugich, wszędzie i przy każdej sposobności wołajmy o ofiarę dla naszego teatru,

a przekonamy się wkrótce, jaki to fundusz zebrać się może staraniem Polek. Obok Dziennika Pozn. i innych tutajszych redakcyi ofiarujemy i my jak najchętniej nasze pośrednictwo w przejmowaniu datków i przeselek, na cel ten przeznaczonych; pismo, kobietom polskim poświęcone, uchylć się nie może od tego obowiązku.

Praca około oświaty ludu i klas rzemieślniczych postępuje u nas zawsze i wydaje owoce; Towarzystwo Czytelni ludowych krząta się bardzo gorliwie, dowodem czego nowe urządzenie bibliotek, a raczej wypożyczalni, z których jedna znajduje się przy ul. Wrocławskiej, druga na Chwaliszewie. Książki pożyczają się do domu, a tym też tylko sposobem rozpowszechniać je można, budzić ciekawość i chęć do czytania. Do wyrobienia solidarności i poczucia braterstwa pomiędzy naszymi rzemieślnikami przyczyniają się także wielce ich wspólne zabawy i tak zwane majówki, gdzie się wszyscy jednoczą i łączą niby w rodzinie, chodząc około jednego interesu. Majówek takich urządzało w tym roku więcej, niż dawniej, a z tych niektóre, mianowicie majówki czeladzi szewskiej, krawieckiej, stolarskiej, miały charakter czysto polski; inne były mieszane. Towarzystwo „Czeladzi Katolickiej“ przysposabiało nawet na swoje zabawy dramatyczne przedstawienie; dawać miano Okrężne Korzeniowskiego, wiemy, że wszystko było przysposobione i role wyuczone, nie słyszeliśmy tylko, czy teatr ten rzeczywiście przyszedł potem do skutku, bo w dniu majówki pogoda nie sprzyjała.

Zewnętrzne roboty około gmachu Towarzystwa Przyjaciół Nauk są już zupełnie ukończone i pięknie, wspaniale, zaprawdę, przedstawia się on oczom przechodnia; prace wewnątrz także postępują szybko i zdaje się, że w niedługim już czasie wszystko do doskonałego porządku doprowadzone zostanie.

Dnia 21 lipca odbyła się w Poznaniu ważna dla katolików uroczystość; poświęcono bowiem i otwarto nowy cmentarz dla tutajszej parafii kościoła Fary, a na starym ci już tylko odtąd chować się mogą, którzy mają tam swe groby rodzinne, lub własne, z dawna zakupione miejsca. Nowy cmentarz, znajdujący się w okolicy starego dworca kolei żelaznej, na drodze do Bartoldowa, przedstawia się bardzo poważnie i wspaniale; piękne, szerokie ulice, mniejsze ścieżki, drzew dużo, a przede wszystkim pyszna brama żelazna, zdobiąca wejście, każą się spodziewać, że z czasem, zwłaszcza gdy drzewa podrosną, będzie to najpiękniejszy cmentarz w Poznaniu. Na uroczystość zebrało się ludności przeszło 4,000, procesyą prowadził w otoczeniu licznego duchowieństwa X. Ziętkiewicz, proboszcz parafii.

Na zakończenie powiemy jeszcze kilka słów o tak zwanych „koloniach wakacyjnych“, choć one nas Polaków mniej obchodzą, bo głównie Niemcy, niemieccy nauczyciele i niemieckie dzieci brali w nich udział. Myśl takich kolonii powstała przed sześciu laty w Niemczech, obecnie też w każdym większym mieście istnieją podobne, a jak czytamy w pismach warszawskich, i tam w tym roku w życie wprowadzonymi zostały. W Poznaniu utworzył się ku temu celowi osobny komitet z osób narodowości niemieckiej, a najczynniejszym jest w nim Jarosław Herse, drugi burmistrz miasta. Tego lata pierwszy raz zatem kosztem ofiar dobrowolnych wysłano ubogie dzieci na wakacje do Szlaska, w niemiecką zupełnie stronę; fizycznie skorzystały one dużo, bo gdy je po powrocie zważono, pokazało się, że w przecięciu każde około 5 funtów ważyło więcej, aniżeli poprzednio. Nauczycieli-kierowników, pod których opieką dzieci wyjechały, było trzech, z tych dwóch włada językiem polskim. Oprócz tych kolonii urządzono jeszcze inne: dzieci, tu należące, nocowały w mieście u rodziców, ale całe dni spędzały na wycieczkach, zwiedzając pobliskie miejscowości, a wszędzie podobno podejmowano je gościnnie. My z tych nowych, dobroczynnych zresztą urządzeń, cieszyć się nie mamy powodu, bo dla naszych polskich dzieci pragniemy nie tylko zdrowia ciała, ale jeszcze czegoś droższego i lepszego, a tego pod opieką nauczycieli innej narodowości i innej religii nabyć nie mogą.

KRONIKA LITERACKA I BIBLIOGRAFICZNA.

— **Przechadzka po Bibliotece Jagiellońskiej.** Kraków, 1882. Mała to książeczka, ale podająca wiele nader pouczających i ciekawych wiadomości. Autorem jej Estreicher, bibliotekarz główny, znany z pomnikowego wydawnictwa „Bibliografii Polskiej.” Dowiadujemy się, że 1809 r. posiadała Biblioteka tylko 20,000 druków i 5000 rękopisów, a 1880 r. miała dzieł przeszło 156,000 w 200,000 tomach i 1500 map; z tych: druków i broszur polskich, lub przez Polaków pisanych, tylko 37,000. Mówimy tylko, gdyż ogólna liczba druków polskich (w języku polskim, lub do Polski się odnoszących) wynosi przeszło 150,000. Przy Bibliotece Jagiellońskiej są czynni oprócz Estreichera: Kustosz Wiślicki, wydawca Przewodnika Bibliograficznego; zasłużony Żegota Pauli, którego Estreicher zowie „chodzącą biblioteką,” oraz Bełcikowski, autor dramatów i cennych rozpraw literackich.

— **Toast Polski** wierszem i prozą czyli zbiór mów przy uroczystościach wszelkiego rodzaju, jako to przy wesolach, ważniejszych zebraniach, przy obchodach Jubileuszowych i t. d. Zebrał X. M. z nad Wrześnicy. Września, nakładem i drukiem B. Niklasa.

Jest to bardzo staranna praca, zawierająca po większej części oryginalne przemówienia. Na końcu są dodane toasty narodowe, nacechowane patriotyzmem.

— **Słowansky Obzor** (Słowiański Przegląd). Pod tym tytułem wychodzi od Lipca br. w mieście czeskim Pardubicach pismo, poświęcone wyłącznie sprawom słowiańskim. W pierwszym nr. zamieszczony jest życiorys Leonarda Sowińskiego i przegląd najnowszych utworów literatury polskiej. Przrzekł temu pismu współpracownictwo także Kraszewski.

— **Wychodzące w Warszawie** od kilku miesięcy pojedynczymi zeszytami: „Wiadomości bibliograficzne” pod redakcją p. T. Paprockiego przedstawiają się bardzo korzystnie. Obok zwykłej bibliografii książek, układanej oryginalnie, redaktor poświęca dział osobny bibliografii czasopism, a dział to prowadzony bardzo starannie i sumiennie, równie jak część krytyczna i literacka, w której nadto znajdujemy kilka poważnych artykułów. Krytyki, jasnej i bezstronnej krytyki brak nam dziś przede wszystkim i bardzo też na czasie był artykuł, dotyczący tej ważnej kwestyi, a zamieszczony niedawno w dwóch numerach Tygodnika Mód warszawskiego. Autor powstawał tam pomiędzy innemi przeciwko różnym uprzedzeniom, narzuconym przekonaniom i powtarzaniu za drugimi na oślep zdania o powadze autorów lub o wartości ich dzieł.

— **Wyszedł z druku** w Krakowie tom siódmy wydawnictw Towarzystwa tatrzńskiego p. t. „Pamiętnik Towarzystwa Tatrzńskiego na rok 1882.” Tom ten zawiera w części pierwszej różne wyciągi i sprawozdania, dotyczące towarzystwa, w drugiej artykuły z dziedziny geografii i nauk przyrodzonych. Wymieniamy niektóre: Tatry i Podhalanie. Skreślił August Wrześniowski, prot. uniw. warsz. — Jaskinie gór naszych i wypadki osiągnięte z ich badań. Skreślił Godfryd Ossowski. — Czarny staw gąsienicowy (pod Kościelcem) przez Eugeniusza Dziewulskiego. Pominąć także nie możemy pięknego wiersza Longfellowa p. n. Excelsior, przekładu Adama Asnyka.

— **Schmitt Henryk.** Rozbiór dzieła p. t. Dzieje Polski w zarysie przez M. Bobrzyńskiego, drugie, znacznie zwiększone wydanie (odbitka z Gazety krakowskiej.) Kraków nakł. autora, druk Wł. L. Anczyca i Sp. 1882 w 16ce, stron 160.

— **Wernic Henryk.** Pogadanki o życiu, popularny wykład nauki obyczajowej. Warszawa, nakładem Gebethnera i Wolffa, druk Bergera, 1882 w 8ce małej, str. 70 — 30 kopiejek.

— **Wilczyński A.** Na manowcach, dzieje zwykłego śmiertelnika, opowiedział autor Kłopotów starego

komendanta. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, druk Ungra, 1882 w 8ce małej, str. 350, cena 1 rubel 50 kop.

— **Kosiński Roch.** Zasady sztuki drzeworytniczej, czyli reguły dobrego rytowania na drzewie. Warszawa 1882. Cena 1 rubel.

— **Sawicki Stella Jan dr.** Rady dla młodych mężatek. Warszawa. Cena 75 kop.

— **Jeske August.** Metodyczna Geografia. Kurs I dla dzieci od lat 9 do 12. Wydanie trzecie. Warszawa. Cena 50 kopiejek.

— **W Paryżu** wyszła książka w drukarni Adryanny Zabieżyń: O hodowaniu koni przez Konrada Wodzińskiego.

— **Gry i zabawy dla młodzieży** z opisem kar, odbywanych za fanty. Warszawa. Cena 60 kopiejek.

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY.

— **W Wiedniu** wystawiony jest obecnie obraz Henryka Siemiradzkiego: Jaskinia rozbójników, który poprzednio był już na wystawie powszechnej w Melbourne w Australii, gdzie został uwieńczony złotym medalem. W powrocie do Europy miał ten obraz zatonać w falach morskich. Pamiętamy jeszcze ubolewania dzienników nad tą wielką stratą. Wieść okazała się na szczęście fałszywą, a obraz wrócił nieuszkodzony do Europy. „Jaskinia” przypomina pod wielu względami obraz Siemiradzkiego: „Wazon czy kobieta,” ale wyraźnie nadmieniamy, że tylko przypomina, a bynajmniej nie jest jego powtórzeniem.

Mistrz przenosi nas w czasy odległe, kiedy Rzym panował nad światem. Rozbójnicy morscy niepokoiłi pewien czas brzegi Sycylii i wysp greckich, a gdy ich zwyciężył Pompeusz, wtedy tylko ukradkiem wykonywali swe haniebne rzemiosło, kryjąc się w niedostępnych grotach. Korsarze głównie ubiegali się o najcenniejszy towar w pogańskich czasach: o niewolników. Poniżający ten handel trwał tak długo, dopóki chrześcijaństwo nie położyło mu końca. Otóż widzimy na obrazie taką tajemną jaskinię, do której przystęp jest bardzo trudny. Grota sama byłaby za jednostajną, przeto zdobią je piękne kobierce i wspaniałe, jedwabne tkaniny, także łup korsarzy. Dwóch kupców frygijskich przyplęnęło na łodzi do tajnej groty, aby zakupić niewolników. Starszy z nich przypomina wielce rysami typ izraelski, co się zgadza z prawdą historyczną, gdyż już wówczas Izraelici wychodzili z Palestyny, trudniąc się handlem. Dowódca rozbójników każe przyprowadzić najcenniejszą zdobycz. Jest to prześliczna dziewczina, zawstydzona, drżąca, pełna powabów. Stanowi ona główną postać obrazu. Wszystkich oczy na nią zwrócone. Innym wzrokiem spoglądają na nią handlarze, innym rozbójnicy. Starszy kupiec oblicza szybko, ile zarobi. Wdzięki kobiecie mają tylko tyle dlań uroku, o ile więcej przynioszą mu korzyści. Dowódca rozbójników spogląda z szyderczą miną na zakłopotaną dziewczę. Butna jego postać zdaje się mówić: siła przed prawem. Drugi, leżący rozbójnik spogląda obojętnie na dziewczę, gdyż dla niego już tylko złoto ma znaczenie. Są jeszcze dwaj inni widzowie, oprócz pachołka, który zdejmuje płaszcz z kobiety. W łodzi spoczywa skrzepowana para małżonków czy kochanków. Patrzą oni z rozpaczą na targ ohydny, gdyż za chwilę może rozpocznie się handel o nich i wtedy nastąpi straszna rozłaka. Kobieta, przeczuwając to, tuli się do swego ukochanego, pełna przerażenia i bólesci. Towarzysz jej podziela wprowadzić te uczucia, ale obok tego z pewnem zajęciem przypatruje się cudnym kształtom niewolnicy. Ludzie są zawsze ludźmi, tak dziś, jak i w odległej starożytności. Widać jeszcze w głębi majtków, wydobywających z okrętu łupy, a szczególnie kość słoniową. Gdzieś w dali wznoszą się piękne, modre góry, które spokojnie patrzą na haniebne czynności ludzi.

Największą trudność w wykonaniu tego obrazu przed-

stawiało światło jaskini niepewne, tajemnicze, trudne do pochwycenia. Właśnie to mistrzowskie pokonywanie trudności oświecenia jest jedną z głównych zalet pędzla Siemiradzkiego. Przedstawił on tak wiernie grotę morską, że zdaje nam się, jakobyśmy na rzeczywistą jaskinię spoglądali. Na pierwszy rzut oka sądzić można, że tu ciemno, wnet atoli wzrok oswaja się tak, że najdrobniejsze szczegóły wyraźnie rozpoznajemy. Fale morskie tak są wiernie odmalowane, że słuchamy, rychło-li nas szum bałwanów doleci.

Postaci wszystkie na obrazie nie są sztuczne, wyszukane, ale żyjące, prawdziwe. Widz wynosi wrażenie, że tak się rzeczywiście działo. Jest to niejako skarga na świat dawny, pogański, ale myśl nasza mimowoli przenosi się w dzisiejsze czasy, a obraz ten przypomina, że i dziś są ludzie, którzy kupczą jeżeli już nie pojedynczymi istotami, to całymi narodami, powtarzając: siła przed prawem. „Jaskinia rozbójników“, choć nie tych rozmiarów, co Świeczniki chrześcijaństwa, jest w każdym razie znakomitą arcydziełem naszego rodaka.

— W Krakowie i w Warszawie podniesiono myśl, aby zebrać ze składek fundusz na zakupienie obrazu Matejki: Hołd pruski. W Warszawie zajmuje się gorąco tą sprawą Henryk Sienkiewicz, redaktor „Słowa.“ Już dwa obrazy Matejki zakupiono przez ofiarność ogółu: tj. Kopernika, który znajduje się w Bibliotece Jagiellońskiej i „Unią Lubelską.“

PODRÓŻ OKOŁO ŚWIATA NA YACHTIE SUNBEAM

czyli

ROK ŻYCIA FAMILIJNEGO NA MORZU

przez

PANIĄ BRASSEY.

Tłumaczenie z języka angielskiego w wyjątkach.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XVII.

Honolulu. — Wyjazd do Japonii.

1 Styczeń 1877. O północy zbudził nas dzwon nasz okrętowy, który równocześnie z dzwonem okrętu „Fantom“ zwiastował rok nowy. Gdy dzwony ucichły, rozległy się w pobliżu głosy śpiewaków Honolulu, którzy łodziami otoczyli nas dokoła, a dając nam serenadę, przez godzinę śpiewali najrozmaitsze, pobożne hymny angielskie i znane piosnki nasze. Księżyc świecił jasno, przezrocze morze gładkie było, jak zwierciadło, drzewa kokosowe Waikiki i oddalone góry wyraźnie rysowały się na ciemno szafirowem sklepieniu nieba. Wśród naszego otoczenia melodyjne tony śpiewaków rozlegały się po przestrzeni morza, wywołując w sercach naszych najrozmaitsze, rzuwne wspomnienia. Całość była pełna uroku, czaru, poezji. Śpiewy ucichły, zniknęli śpiewacy, a myśmy, jeszcze wsłuchani w ich tony, wodzili wzrokiem, gonili myślą gdzieś, w dal nieprzebytą.

Gdy o 6-tę z rana powtórnie wyszłam na pokład, w miejsce czarodziejskich łodzi ujrzałam już tylko podwójne canoe pełne rybaków. Ludzie ci siedzieli na czemś, co wsparte obydwóch czołnach, wyglądało na wiązkę lin, a była to sieć ogromnych rozmiarów. Fala nadzwyczaj tu zmienna; to też krajowcy, skoro tylko woda zaczęła opadać, zarzucają sieci na ciasny wręb morza do portu i w ten sposób chwytają niezrównaną ilość ryb najrozmaitszych kształtów. Dzisiejszego ranka połów powiódł się wyśmienicie, a rybacy podwójnie byli z tego radzi, gdyż pierwszy to zwiastun, czy rok nowy będzie złym, czy dobrym.

O 2-giej z południa wylądowałam, aby wraz z mą córką przedstawić się królowej. Był to dzień przyjęcia. Gubernator czekał na nas już u drzwi ogrodu i przez

dwa pokoje przeprowadził nas przed tron N. J. Pani Królowa, ubrana po europejsku, miała suknię niebieską z białym kolorem. Na piersiach jej zwieszał się hawajski order podwiązki. Dwie tylko damy honorowe także były w strojach dworskich, inne miały suknie najrozmaitszego kroju, wieczorkowe lub zwykłe; wszystkie jednakże stosowały się do europejskiej mody z wyjątkiem Ruty, wielkorządczyni Hawajów. Jej wysokość odziana była bogatą, białą, jedwabną suknią, ozdobioną atlasem kroju miejscowego. Szyję jej okalał naszyjnik z piór pomarańczowego koloru, a ciemno żółte kwiaty alamanda zdobiły jej włosy. Strój miejscowy nadzwyczaj jest wdzięczny; szczególnie pięknym się wydaje na wodzach i naczelnikach, którzy bez wyjątku, mężczyźni czy kobiety, są wysokiego wzrostu, przystojni, pięknej postawy i ruchów pełnych godności. Królowa stała na przodzie tronu, osłoniętego oponą z piór złotych, na której nie było zmieścić ni żadnej skazy. Po obu stronach, jakby na straży, stali dwaj krajowcy; obaj mieli zarzucone płaszcze na ramionach z kołnierzykami z czarnego czerwonych, czarnych i żółtych piór, na głowie cylindrowe kapelusze, a w ręku trzymali ogromne kahilis z czarnych piór z rękojeścią z kości słoniowej, oprawionej w szyldkret. Pióra kahilis były na 8 stóp długie i 6 cali szerokie. J. K. Mość raczyła rozmawiać z nami za pośrednictwem damy honorowej. Królowa Kapiolani jest ładnej, sympatycznej powierzchowności i nadzwyczaj ma miły układ. Jest ona wnuczką bohaterskiej księżnej Kapiolani, która w czasie, gdy najbardziej rozszerzona była wiara i bojaźń bogini Pelé, na przekór wszelkim ostrzeżeniom i groźbom wielkiej bogini poszła śmiało do krateru Kilanea, okazując w ten sposób wiarę swą w wielkość Boga, Boga chrześcijańskiego, któremu ufała, że ją ocalić zdoła. Czyn ten przyczynił się wielce do rozszerzenia wiary chrześcijańskiej na wyspie Hawajów i zachwiał cześć dla Pelé; od-tąd przestano drzeć przed tą straszną boginią.

Księżna zwróciła jeszcze moją uwagę na pokój, przepel-niony obrazami kilku generacji królów i królowych, panujących na wyspach Sandwich. Pierwsi mieli strój krajowy, późniejsi europejski. Większa ich część była pędzla krajowych malarzy i tylko Kamehameha II i żona jego za swego pobytu w Londynie kazali się malować znakomitą angielskiemu artyście. Umarli oni oboje w stolicy W. Brytanii i dopiero zwłoki ich odwieziono do ziemi ojczyznej. Wśród panujących zawieszony był także portret admirała Thomas. W r. 1843 potrafił on uśmierzyć wzbурzenie miejscowe i przywrócił na tron Kamehameha III, za co pamięć jego wysoko tu czczona. Prócz jego wisały tam jeszcze portrety Ludwika Filipa i Napoleona III. Obaj ci panujący w chwilach największej swej chwały wysłali byli obrazy swe do Sandwich, lecz że obadwaj przesłali je przez przyładek Horn, zanim obrazy doszły miejsca przeznaczenia, bohaterowie ci francuzcy pozbawieni władzy, chronili się pod opiekę Anglii.

Ze wszystkiego jednakże najciekawszą do widzenia rzeczą był płaszcz, czapka i opaska Kamehamehas, używana przy koronacji lub chrzcie. Przedmioty te nikomu nie bywają pokazywane. Wyjątkowo księżniczka Kamakacha, mając klucz do garderoby królewskiej, pozwoliła mi je obejrzeć. Płaszcz, już teraz jedyny w tym rodzaju, jest na 11-scie stóp długi, pięć szeroki; składa się z samych żółtych, a raczej złotych piór, które, mając połysk metalowy, błyszczą w słońcu, jak złoto.

Opuściwszy pałac, powróciłam na statek, skąd po trzeci raz tego samego dnia wylądowałam z całą rodziną. Urządziliśmy konną wyprawę do Pali; dzieci, służbę i żywność wysyłając naprzód. Jechaliśmy przeszło siedm mil, najpierw aleją, a następnie przez góry. Przebywszy ciasny wąwóz, stanęliśmy na środkowym paśmie gór, tworzących jakoby krzyż pacierzowy tej wyspy. Z wyniesienia tego o zachodzie słońca mieliśmy widok prześliczny, choć podobno jeszcze on piękniejszy o wschodzie. Powrót nasz przy świetle księżycy uroczo był piękny. Tego samego wieczora byliśmy jeszcze na balu w hotelu. Nie było to wielkie zebra-nie, pomimo, że tak panom, jak paniom, wolno było przy-

być w najrozmaitszych strojach, wizytowych lub wieczorkowych. Jednakże gubernator i większa część Anglików, (zaliczając do nich i nasze kółko) ukazali się w ubraniach wieczorkowych. Oficerowie zaś okrętu „Fantome“ wystąpili w galowym stroju. Drzwi i okna poroztwierano na rozcież, dla urozmaicenia więc tańca można było pójść usiąść na obszernej werandzie lub przejść się po ogrodzie. Do picia podawano wyborną, zamrożoną limonadę, całkiem niepodobną do napoju tak zwanego w Anglii. Około pół do 12, gdy się rozchodzić zaczęło, i myśmy pożegnali towarzystwo. W czwartek ma być drugi bal, na który także zostaliśmy zaproszeni.

2 Stycznia. O 11-tej król odwiedził nas w towarzystwie księcia Leleiohoku i kilku innych osób. J. K. Moś jest wysoki, przystojny, pięknego obejścia, po angielsku mówi gładko i poprawnie. Porównano z księciem zwiedził wszystkie zakątki naszego jachtu i przypatrzył się każdej drobnostce. Przegląd ten trwał co najmniej półtorej godziny, poczem czas dłuższy rozmawiał z nami na pokładzie. Pobyt księcia Wales w Indyi i podróż około świata księcia Edynburskiego otóż przedmioty, które rozbieraliśmy. Z tego, co mówił, zdawało nam się, że król ten miał ochotę, jak tamci, zwiedzić świat szerszy. Pobyt swój w Ameryce wspominał z widoczną przyjemnością. Zaledwo N. J. Pan opuścił nasz statek, przybyła królowa ze swoją siostrą, a że na wczorajszym balu powiedzieliśmy, że od 4-tej jesteśmy na usługi chcących zwiedzić nasz jacht, na tę godzinę gubernator przysłał nam królewską kapelę, aby przyjęciu dodać świetności. Wkrótce zaczęło się schodzić. Królowa tak dobrze się bawiła z nami, że pomimo liczego zebrania przybywających pozostała aż do piątej. Około 6-tej jacht nasz zaczął się wyludniać i została się już tylko kapela, którą także trzeba było ugościć i oprowadzić wszędzie.

3 Stycznia. Niezawodnie dzień dzisiejszy nie był dniem przyjemnym; nietylko że z nim kończył się krótki nasz pobyt w Honolulu, lecz jeszcze trzeba było pożegnać rozmaitych uprzejmych znajomych, popłacić rachunki, porobić zakupna i przygotować się do długiej, morskiej podróży. O 6-tej byłam już na pokładzie, by zdjąć jeszcze niektóre fotografie i zapakować koral, muszle, rozmaite podarki od króla, królowej, księcia, księżniczki i wielu innych życzliwych nam osób. Przed 7-mą jacht otoczony został łodziami i wkrótce zarzucony najrozmaitszymi rupieciami, żywnością, żaglami i węglem. Rzeczywiście zakłopotać się było można, gdzie to wszystko pomieścić. W czasie tego zamieszania zjawili się jeszcze kilku znajomych, którzy w wigilię przybyć nie mogli. Musieli oni wywieźć całkiem inne wrażenie, jak ci, co widzieli Sumbeama dnia poprzedniego. Lecz trudno, nie mogło być inaczej, gdy 40 osób puszcza się niewielkim statkiem na miesięczną podróż morską.

O 11 wylądowaliśmy raz jeszcze, by zwiedzić szpital królowej. Piękny ten i dobrze zbudowany budynek w chwili naszych odwiedzin mieścił 90 chorych. Mężczyźni umieszczani na dole, kobiety na wyższym piętrze. Każdy przedział starannie jest ozdobiony bukietami, a nazwisko chorego wypisane na białym kartonie. Wielu z przychodzących do zdrowia stroi się w wieniec, a nawet i leżący w łóżku żądają, aby im położono na posłaniu choćby jeden kwiatek. Nadaje to sali szpitalnej charakter wesoły, przyciągający i miły. Ze szpitala posłaliśmy złożyć kilka wizyt pożegnalnych, poczem udaliśmy się do królewskiego Mauzoleum. Wniść do niego wzbrowione jest wszystkim cudzoziemcom; z wyjątkiem miejscowych admirałów nawet niewielu

mieszkańców Honolulu ma do niego przystęp. Wyjątkowa ta dla nas łaska była największym honorem, jakiego dostąpić mogliśmy. Klucz od Mauzoleum jeden ma król, drugi królowa wdowa, Emma, a trzeci minister spraw wewnętrznych.

Po drodze do królewskiego grobowca spotkaliśmy pogrzeb jednego ze zwykłych mieszkańców. Dom zmarłego ozdobiony był chorągiewkami, napełniony tłumem ludzi przybyłych z daleka. Wszyscy byli ubrani czarno, z jasno żółtymi lei na głowie i szyi. Nad ciałem stały cztery kobiety, powiewające kahilis.

Księżniczka czekała na nas w Mauzoleum. Mały to, lecz piękny grobowiec w stylu gotyckim, położony w alei Nunana po drodze do Pali, otoczony jest dokoła kwiatami, których woń przez otwarte okna wdiera się do wnętrza. Spoczywają tu zwłoki wszystkich królów Hawaui, ich żon i dzieci. Prawie większa część trumien jest z wygładzonego drzewa kōa, chociaż niektóre pokryte są czerwonym aksamitem i złotem. Są one rozmiarów ogromnych, co zdaje się naturalnem, zważywszy, że wszyscy naczelnicy tych wysp są niezrównanego wzrostu i ogromnych kształtów. Kości Kamehameha I. złożone w czworograniastej, dębowej skrzyni. U stóp trumny Kamehameha IV. stoją dwa ogromne kahilis na 12 stóp wysokie, jedno z piór różowych, drugie z czarnych z rękojeścią szylkretową. W przedsiönku ustawiono zwłoki pana Wylie, Europejczyka, uważanego tutaj za największego dobroczyńcę Hawańczyków. Jeden z okrętów, stojący w porcie, nosi nazwisko tego zmarłego i na każdym miejscu spotkać można dowody niewygasłej o nim pamięci.

Księżna odwiozła nas aż do przystani okrętowej, gdzie pożegnaliśmy ją z największą wdzięcznością za doznane od niej dowody niezrównanej uprzejmości. Nie umiem wyrazić żalu, jaki ścisnął serca nasze przy rozłączaniu się z Honolulu.

Łamigłówna kryształowa.

S y l a b y :

bal, bra, cek, cha, cha, dy, i, ja, k, ko, ko, koń, la, la, mo, na, na, no, o, ra, ry, ska, su, u, wicz, wu, wski.

Wyjaśnienie. 1. litera — 2. zwierzę — 3. imię własne — 4. pożywienie majtków — 5. heroina z dramatu Słowackiego — 6. poeta polski — 7. znany obecnie pop ruski — 8. przymiot zucha — 9. zwierzę drapieżne — 10. narzędzie najszacowniejszego zmysłu — 11. spójnik.

Rozwiązanie łamigłówny w nr. 22.

1. Pauzanasz — 2. Orest — 3. Litwini — 4. Oudinot — 5. Nil — 6. Irena. — 7. Atheneum.

Polonia — Maltitz.

Rozwiązanie nadesłali; panie: Helena Turno w Słopanie, Franciszka Nieżychońska i goście obecni w Nowem, Jadwiga Czerwińska w Żelichach, Antonina Wileczyńska w Poznaniu — panowie: K. Nieżychoński w Kaliszach, J. Siewicz, W. Brodnicki w Poznaniu.

Treść: Artykuł wstępny: Pogadanki starej babuni. V. O zdrowiu, przez E. z K. P. — Oaza Eukalyptusowa Trapistów w kampanii rzymskiej przez N. z P. — Bracia cioteczni, powieść, przekład z języka włoskiego. (Ciąg dalszy.) — Kronika miejscowa. — Kronika literacka i bibliograficzna. — Przegląd artystyczny. — Podróż około świata na Yacheie Sumbeam czyli rok życia familijnego na morzu przez Panią Brassey. Tłomaczenie z angielskiego w wyjątkach. (Ciąg dalszy.) — Łamigłówna kryształowa. — Rozwiązanie łamigłówny w nr. 22.

Za nakład i redakcją odpowiedzialna Teresa Radońska w Poznaniu. — Drukiem J. I. Kraszewskiego (Dr. W. Żebniński) w Poznaniu.